**Jarema Piekutowski**

**Śpieszmy się kochać street art, tak szybko go zamazują**

Gdyby we współcześnie uprawianej sztuce poszukać form, najbliżej spokrewnionych z najstarszymi wytworami artystycznymi ludzkości – takimi jak malowidła jaskiniowe z wyspy Sulawesi, czy słynne, dużo późniejsze, z lascaux – z pewnością byłby wśród nich street art. Nie wiemy wprawdzie, czy dawne malowidła, podobnie jak ich dzisiejsze, street artowe odpowiedniki, były traktowane jako przejaw wandalizmu, czy też podziwiane niczym obrazy w galeriach. Jedno jest wszak pewne: zarówno artyści jaskiniowi, jak i współcześni, uliczni, będący – jak twierdzi Seph Rodney w „The New York Time” – ich dziedzicami, w przestrzeni publicznej dzielą się wizerunkami i metaforami otaczającej ich rzeczywistości. Także tej społecznej i politycznej. To jednak tylko cząstka sztuki, którą prezentuje Paweł Kwiatkowski w imponującej rozmiarami i rozmachem książce „Street Art Polska”, wydanej przez Wydawnictwo Arkady.

Paweł Kwiatkowski nie jest typowym krytykiem sztuki – owszem, o sztuce pisał (np. „Molto che parla. Tajemnice artystów i ich dzieł”), jednak to człowiek renesansu – był doradcą ministra, piastował wysokie stanowiska w biznesie, tłumaczył Jonathana Carrolla, a z drugiej strony – Alvina Tofflera. Można było więc do jego pracy podejść i z nadziejami, i z obawami. Czy podołał trudnemu tematowi, jakim jest rzetelne przedstawienie stanu polskiego street artu?

Podołał całkiem nieźle. Przede wszystkim dzięki temu, że nie silił się w „Street Art Polska” na stworzenie systematycznej pracy naukowej. Oddał za to głos samym artystom, przyznając jednocześnie we wstępie, że dobrał rozmówców w sposób całkowicie subiektywny. Dotarcie do nich, działających często w sposób półoficjalny – tak, jak nie wszystkie przejawy street artu są zgodne z prawem – nie było zapewne prostym zadaniem. A jednak Kwiatkowski wykazał się jednym z najważniejszych talentów dziennikarskich: umiejętnością zdobycia zaufania rozmówców. Choć występują pod pseudonimami, wpuszczają Kwiatkowskiego do swoich pracowni, wielu z nich pozwoliło się sfotografować, a przede wszystkim są szczerzy w rozmowach. Choć w niektórych spośród dość długich tekstów 20 rozmów (i jednego wspomnienia o zmarłym nagle Tonem) wypowiedzi samych artystów jest niewiele. Dużo zaś, może czasem za dużo, opowieści o własnej odysei dziennikarza, o okolicznościach rozmów, o wymienionych z nimi przypadkiem zdaniach.

Sztuka jednak mówi sama za siebie – przedstawiona na fotografiach, zebranych z różnych źródeł, a więc i ich jakość bywa trochę zróżnicowana; nie na tyle jednak, by przeszkadzało to znacząco w odbiorze. Kwiatkowski zadbał o zróżnicowanie dzieł – od wyrastających wprost z graffiti motywów tworzonych przez Graffunka czy Krik Konga do znanych już na całym świecie koronek NeSpoon czy przestrzennych realizacji Cekasa. „Street Art Polska” jest świadectwem przejścia tego gatunku z ulicy na salony i do auli szkół artystycznych. Widać, ile zmieniło się od czasów wydanego w 1991 r. albumu „Polskie mury/zmory” z nieodzownym wówczas podtytułem „Graffiti – sztuka czy wandalizm”. Dziś miasta masowo zamawiają murale, niejako przejmując buntowniczą energię street artu i wykorzystując ją w swoim celu. Momentami dochodzi do sytuacji budzących zakłopotanie, takich jak ta na warszawskiej Pradze, gdzie artyści ze studia WAKEUPTIME odnowili na zlecenie miejskiego konserwatora zabytków legendarny mural reklamowy nieistniejącego już Warszawskiego Zakładu Fotochemicznego "Foton”, po czym… został on częściowo zamazany przez bardziej amatorskich twórców graffiti.

Czyżby street art stawał się sztuką mieszczańską, przeciwko której chcemy już się buntować? Kontrkulturową żyłkę daje się jednak wyczuć u artystów, z którymi rozmawia Kwiatkowski. Nie osiedli na laurach. Szukają nowych środków wyrazu, jak Egon Fietke, tworzący w lesie (czy to jeszcze jest street art? – pyta Kwiatkowski). Irytują się etykietami. „Nazwa *street art* nie została wymyślona przez ludzi uprawiających tę sztukę. To szuflada, do której nas wszystkich się wrzuca” – mówi Czarnobyl. W polskim street arcie, przedstawionym przez Kwiatkowskiego, chyba szczególnie zaskakuje to, że jest on tak mało polityczny. Forma dla przedstawionych artystów zdaje się ważniejsza niż treść. Może dlatego przedstawione prace są „osobne”, nie nudzą, nie zniechęcają widza nachalną dydaktyką. Kwiatkowski stworzył dzieło, które nie jest wprawdzie uporządkowanym przeglądem z podbudową teoretyczną, ale za to stanowi żywą opowieść o głęboko osobistych sposobach postrzegania świata. Takich jak te, które chcieli wyrazić artyści z Sulawesi i Lascaux.